KSIĄŻNICA NARODOWA

ADAM MICKIEWICZ

Konrad Wallenrod

KSIĄŻNICA NARODOWA

ADAM MICKIEWICZ

KONRAD WALLENROD

M. I. KOLIN (PUBLISHERS) LTD
229/231, HIGH HOLBORN, LONDON, W.C.1

AUGUST, 1943

PRINTED IN GREAT BRITAIN BY
WILLIAMS, LEA & CO., LTD., LONDON

WSTĘP

Sto lat minęło jak Zakon Krzyżowy
We krwi pogaństwa północnego brodził;
Już Prusak szyję uchylił z okowy
Lub ziemię oddał, a z duszą uchodził;
Niemiec za zbiegiem rozpuścił gonitwy,
Więził, mordował, aż do granic Litwy.

Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:
Po jednej stronie błyszczą świątyń szczyty
I szumią lasy, pomieszkania bogów —
Po drugiej stronie, na pagórku wbity
Krzyż, godło Niemców, czoło kryje w niebie,
Groźnie ku Litwie wyciąga ramiona,
Jak gdyby wszystkie ziemie Palemona
Chciał z góry objąć i garnąć pod siebie.

Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży,
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, z dłonią pełną grotów,
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie w szyszaku i zbroi
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.

I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen, dawniej sławny z gościnności,

Łączący bratnich narodów dzierżawy,
Już teraz dla nich był progiem wieczności —
I nikt bez straty życia lub swobody
Nie mógł przestąpić zakazanej wody.
Tylko gałązka litewskiego chmielu,
Wdziękami pruskiej topoli nęcona,
Pnąc się po wierzbach i po wodnem zielu,
Śmiałe, jak dawniej, wyciąga ramiona
I rzekę kraśnym przeskakując wiankiem,
Na obcym brzegu łączy się z kochankiem,
Tylko słowiki kowieńskiej dąbrowy
Z bracią swojemi Zapuszczańskiej góry
Wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy,
Lub, swobodnemi wymknąwszy się pióry,
Latają w gości na spólne ostrowy.

A ludzie? — Ludzi rozdzieliły boje.
Dawna Prusaków i Litwy zażyłość
Poszła wniepamięć... Tylko czasem miłość
I ludzi zbliża. — Znałem ludzi dwoje...

O Niemnie! Wkrótce runą do twych brodów
Śmierć i pożogę niosące szeregi,
I twoje, dotąd szanowane, brzegi
Topór z zielonych ogołoci wianków,
Huk dział wystraszy słowiki z ogrodu —
Co przyrodzenia związał łańcuch złoty,
Wszystko rozerwie nienawiść narodów,
Wszystko rozerwie — lecz serca kochanków
Złączą się znowu w pieśniach wajdeloty.

I

OBIÓR

Z maryjenburskiej wieży zadzwoniono,
Działa zagrzmiały, w bębny uderzono.
Dzień uroczysty w Krzyżowym Zakonie.
Zewsząd komtury do stolicy śpieszą,
Kędy, zebrani w kapituły gronie,
Wezwawszy Ducha Świętego, uradzą,
Na czyich piersiach wielki krzyż zawieszą
I w czyje ręce wielki miecz oddadzą.
Na radach spłynął dzień jeden i drugi,
Bo wielu mężów staje do zawodu,
A wszyscy równie wysokiego rodu,
I wszystkich równe w Zakonie zasługi;
Dotąd powszechna między bracią zgoda
Nad wszystkich wyżej stawi Wallenroda.

On, cudzoziemiec, w Prusach nieznajomy,
Sławą napełnił zagraniczne domy;
Czy Maurów ścigał na kastylskich górach,
Czy Ottomana przez morskie odmęty,
W bitwach naczele, pierwszy był na murach,
Pierwszy zahaczał pohańców okręty;
I na turniejach, skoro wstąpił w szranki,
Jeżeli raczył przyłbicę odsłonić,
Nikt się nie ważył na ostre z nim gonić,
Pierwsze mu zgodnie ustępując wianki.

Nie tylko między krzyżowemi roty
Wsławił orężem młodociane lata;
Zdobią go wielkie chrześcijańskie cnoty:
Ubóstwo, skromność i pogarda świata.

Konrad nie słynął w przydwornym nacisku
Gładkością mowy, składnością ukłonów,
Ani swej broni dla podłego zysku
Nie przedał w służbę niezgodnych baronów.
Klasztornym murom wiek poświęcił młody,
Wzgardził oklaski i górne urzędy ;
Nawet zacniejsze i słodsze nagrody,
Minstrelów hymny i piękności względy,
Nie przemawiały do zimnego ducha :
Wallenrod pochwał obojętnie słucha,
Na kraśne lica pogląda zdaleka,
Od czarującej rozmowy ucieka.

Czy był nieczuły, dumny z przyrodzenia,
Czy stał się z wiekiem — bo, choć jeszcze młody,
Już włos miał siwy i zwiędłe jagody,
Napiętnowane starością cierpienia —
Trudno odgadnąć. Zdarzały się chwile,
W których zabawy młodzieży podzielał,
Nawet niewieścich gwarów słuchał mile,
Na żarty dworzan żartami odstrzelał
I sypał damom grzecznych słówek krocie
Z zimnym uśmiechem, jak dzieciom łakocie.
Były to rzadkie chwile zapomnienia,
I wkrótce lada słówko obojętne,
Które dla drugich nie miało znaczenia,
W nim obudzało wzruszenie namiętne ;
Słowo : ojczyzna, powinność, kochanka,
O krucyjatach i o Litwie wzmianka,
Nagle wesołość Wallenroda truły ;
Słysząc je, znowu odwracał oblicze,
Znowu na wszystko stawał się nieczuły
I pogrążał się w dumy tajemnicze.
Może, wspomniawszy świętość powołania,

Sam sobie ziemskich słodyczy zabrania ?
Jedne znał tylko przyjaźni słodycze,
Jednego tylko wybrał przyjaciela,
Świętego cnotą i pobożnym stanem :
Był to mnich siwy — zwano go Halbanem.
On Wallenroda samotność podziela ;
On był i duszy jego spowiednikiem ;
On był i serca jego powiernikiem.
Szczęśliwa przyjaźń ! Święty jest na ziemi,
Kto umiał przyjaźń zabrać ze świętemi.

Tak naczelnicy zakonnej obrady
Rozpamiętują Konrada przymioty ;
Ale miał wadę — bo któż jest bez wady ?
Konrad światowej nie lubił pustoty,
Konrad pijanej nie dzielił biesiady —
Wszakże, zamknięty w samotnym pokoju,
Gdy go dręczyły nudy lub zgryzoty,
Szukał pociechy w gorącym napoju.
I wtenczas zdał się wdziewać postać nową,
Wtenczas twarz jego, bladą i surową,
Jakiś rumieniec chorowity krasił,
I wielkie, niegdyś błękitne źrenice,
Które czas nieco skaził i przygasił,
Ciskały dawnych ogniów błyskawice ·
Z piersi żałośne westchnienie ucieka,
I łzą perłową nabrzmiewa powieka,
Dłoń lutni szuka, usta pieśni leją,
Pieśni, nucone cudzoziemską mową,
Lecz je słuchaczów serca rozumieją.
Dosyć usłyszeć muzykę grobową,
Dosyć uważać na śpiewaka postać :
W licach pamięci widać natężenie,
Brwi podniesione, pochyłe wejrzenie,

Chcące z głębiny ziemskiej coś wydostać.
Jakiż być może pieśni jego wątek?
Zapewne myślą w obłędnych pogoniach
Ściga swą młodość na przeszłości toniach...
Gdzież dusza jego? — W krainie pamiątek.

Lecz nigdy ręka w muzycznym zapędzie
Z lutni weselszych tonów nie dobędzie,
I lica jego niewinnych uśmiechów
Zdają się lękać, jak śmiertelnych grzechów.
Wszystkie uderzą struny pokolei,
Prócz jednej struny — prócz struny wesela.
Wszystkie uczucia słuchacz z nim podziela,
Oprócz jednego uczucia — nadziei.

Nieraz go bracia zaszli niespodzianie
I nadzwyczajnej dziwili się zmianie:
Konrad, zbudzony, zżymał się i gniewał,
Porzucał lutnię i pieśni nie śpiewał;
Wymawiał głośno bezbożne wyrazy,
Coś Halbanowi szeptał pokryjomu,
Krzyczał na wojska, wydawał rozkazy,
Straszliwie groził — niewiadomo komu.
Trwożą się bracia... — Stary Halban siada
I wzrok zatapia w oblicze Konrada,
Wzrok przenikliwy, chłodny i surowy,
Pełen jakowejś tajemnej wymowy.
Czy coś wspomina, czyli coś doradza,
Czy trwogę w sercu Wallenroda budzi,
Zaraz mu chmurne czoło wypogadza,
Oczy przygasza i oblicze studzi.
Tak na igrzysku, kiedy lwów dozorca,
Sprosiwszy pany, damy i rycerze,
Rozłamie kratę żelaznego dworca,

Da hasło trąbą — strach na widzów pada —
Jeden dozorca kroku nie poruszy,
Spokojnie ręce na piersiach zakłada
I lwa potężnie uderzy oczyma;
Tym nieśmiertelnym talizmanem duszy
Moc bezrozumną na uwięzi trzyma.

II

Z maryjenburskiej wieży zadzwoniono;
Z obradnej sali idą do kaplicy:
Najpierwszy komtur, wielcy urzędnicy,
Kapłani, bracia i rycerzy grono,
Nieszpornych modłów kapituła słucha
I śpiewa hymny do Świętego Ducha.

HYMN

Duchu, światło Boże!
Gołąbko Syjonu!
Dziś chrześcijański świat, ziemne podnoże
Twojego tronu,
Widomą oświeć postacią
I roztocz skrzydła nad syjońską bracią.
Spod Twych skrzydeł niech wystrzeli
Słonecznemi promień blaski
I kto najświętszej godniejszy łaski,
Temu niech złotym wieńcem skronie rozweseli,
A padnie na twarz syn człowieka.
Temu, nad kim spoczywa Twych skrzydeł opieka.
Synu Zbawicielu!
Skinieniem wszechmocnej ręki
Naznacz, kto z wielu
Najgodniejszy słynąć

Świętym znakiem Twojej męki,
Piotra mieczem hetmanić żołnierstwu Twej wiary
I przed oczyma pogaństwa rozwinąć
Królestwa Twego sztandary!
A syn ziemi niech czoło i serce uniża
Przed tym, na czyich piersiach błyśnie gwiazda krzyża!

*

Po modłach wyszli. Arcykomtur zlecił,
Spocząwszy nieco, powracać do choru
I znowu błagać, aby Bóg oświecił
Kapłanów, braci i mężów obioru.

Wyszli nocnemi orzeźwić się chłody;
Jedni zasiedli zamkowy krużganek,
Drudzy przechodzą gaje i ogrody.
Noc była cicha, majowej pogody,
Zdala niepewny wyglądał poranek.
Księżyc, obiegłszy błonie szafirowe,
Z odmiennem licem, z różnym blaskiem w oku,
Drzemiąc to w ciemnym, to w srebrnym obłoku,
Zniżał swą cichą i samotną głowę,
Jak dumający w pustyni kochanek,
Obiegłszy myślą całe życia koło,
Wszystkie nadzieje, słodycze, cierpienia,
To łzy wylewa, to spojrzy wesoło,
Wreszcie ku piersiom zmordowane czoło
Skłania — i wpada w letarg zamyślenia.

Przechadzką inni bawią się rycerze,
Lecz arcykomtur chwil darmo nie traci;
Zaraz Halbana i celniejszych braci
Wzywa do siebie i na stronę bierze,
Aby zdaleka od ciekawej rzeszy

Zasięgnąć rady, udzielić przestrogi.
Wychodzi z zamku, na równinę śpieszy —
Tak rozmawiając, nie pilnując drogi,
Błądzili kilka godzin w okolicy,
Blisko spokojnych jeziora wybrzeży.
Już ranek — pora wracać do stolicy.
Stają — głos jakiś... Skąd? — Z narożnej wieży.
Słuchają pilnie — to głos pustelnicy.
W tej wieży dawno, przed laty dziesięciu,
Jakaś nieznana pobożna niewiasta,
Zdala przybywszy do Maryi-miasta —
Czy ją natchnęło niebo w przedsięwzięciu,
Czy skażonego sumienia wyrzuty,
Pustelniczego szukała ukrycia
I tu znalazła grobowiec za życia.

Długo nie chcieli pozwalać kapłani,
Wreszcie, stałością prośby przełamani,
Dali jej w wieży samotne schronienie.
Ledwie stanęła za święconym progiem,
Na próg zwalono cegły i kamienie;
Została sama z myślami i Bogiem —
I bramę, co ją od żyjących dzieli,
Chyba w dzień sądny odemkną anieli.

U góry małe okienko i krata,
Kędy pobożny lud słał pożywienie,
A niebo — wietrzyk i dzienne promienie:
Biedna grzesznico, czyż nienawiść świata
Dotyla umysł skołatała młody,
Że się obawiasz słońca i pogody?
Zaledwie w swoim zamknęła się grobie,
Nikt jej nie widział przy okienku wieży
Przyjmować w usta wiatru oddech świeży,

Oglądać niebo w pogodnej ozdobie,
I miłe kwiaty na ziemnym obszarze,
I stokroć milsze swoich bliźnich twarze.

Wiedziano tylko, że jest dotąd w życiu,
Bo nieraz jeszcze świętego pielgrzyma
Gdy nocą przy jej błąka się ukryciu,
Jakiś dźwięk miły na chwilę zatrzyma —
Dźwięk to zapewne pobożnej piosenki —
I z pruskich wiosek gdy zebrane dzieci
Igrają w wieczór u bliskiej dąbrowy,
Natenczas z okna coś białego świeci,
Jak gdyby promyk wschodzącej jutrzenki;
Czy to jest włosa pukiel bursztynowy,
Czyli to połysk drobnej, śnieżnej ręki,
Błogosławiącej niewiniątek głowy.
Komtur, tamtędy obróciwszy kroki,
Słyszy, gdy wieżę narożną pomijał:
„Tyś Konrad! Przebóg! Spełnione wyroki!
Ty masz być mistrzem, abyś ich zabijał!
Czyż nie poznają? Ukrywasz daremnie!
Chociażbyś, jak wąż, inne przybrał ciało,
Jeszczeby w twojej duszy pozostało
Wiele dawnego; wszak zostało we mnie!
Chociażbyś wrócił — po twoim pogrzebie
Jeszcze Krzyżacy poznaliby ciebie".
Słucha rycerstwo — to głos pustelnicy...
Spojrzą na kratę — zda się, pochylona,
Zda się ku ziemi wyciągać ramiona...
Do kogóż? Pusto w całej okolicy.
Zdaleka tylko jakiś blask uderza,
Nakształt płomyka stalowej przyłbicy,
I cień na ziemi... Czy to płaszcz rycerza?
Już znikło... Pewnie złudzenie źrenicy,

Pewnie jutrzenki błysnął wzrok rumiany,
Po ziemi ranne przemknęły tumany.

„Bracia! — rzekł Halban — dziękujmy niebiosom!
Pewnie wyroki niebios nas przywiodły.
Ufajmy wieszczym pustelnicy głosom!
Czy słyszeliście? Wieszczba o Konradzie!
Konrad — dzielnego imię Wallenroda.
Stójmy — brat bratu niechaj rękę poda!
Słowo rycerskie: na jutrzejszej radzie
On mistrzem naszym". — „Zgoda! — krzykną —
zgoda!".
I poszli, krzycząc. Długo po dolinie
Odgłos tryumfu i radości bije:
„Konrad niech żyje, wielki mistrz niech żyje!
Niech żyje Zakon! Niech pogaństwo zginie!".

Halban pozostał, mocno zamyślony;
Na wołających okiem wzgardy rzucił,
Spojrzał ku wieży i cichemi tony
Taką piosenkę odchodząc zanucił:

PIEŚŃ

Wilija, naszych strumieni rodzica,
Dno ma złociste i niebieskie lica —
Piękna Litwinka, co jej czerpa wody,
Czystsze ma serce, śliczniejsze jagody.

Wilija w miłej kowieńskiej dolinie
Śród tulipanów i narcyzów płynie —
U nóg Litwinki kwiat naszych młodzianów
Od róż kraśniejszy i od tulipanów.

Wilija gardzi doliny kwiatami,
Bo szuka Niemna, swego oblubieńca —
Litwince nudno między Litwinami,
Bo ukochała cudzego młodzieńca.

Niemen w gwałtowne pochwyci ramiona,
Niesie na skały i dzikie przestworza,
Tuli kochankę do zimnego łona
I giną razem w głębokościach morza.

I ciebie równie przychodzień oddali
Z ojczystych dolin, o Litwinko biedna !
I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza, ale sama jedna.

Serce i potok ostrzegać daremnie :
Dziewica kocha — i Wilija bieży ;
Wilija znikła w ukochanym Niemnie —
Dziewica płacze w pustelniczej wieży.

III

Gdy mistrz praw świętych ucałował księgi,
Skończył modlitwę i wziął od komtura
Miecz i krzyż wielki, znamiona potęgi —
Wzniósł dumnie czoło, chociaż troski chmura
Ciążyła nad niem, wkoło okiem strzelił,
W którem się radość napół z gniewem żarzy,
I niewidziany gość na jego twarzy,
Uśmiech przeleciał, słaby i znikomy,
Jak blask, co chmurę poranną rozdzielił,
Zwiastując razem wschód słońca i gromy.
Ten zapał mistrza, to groźne oblicze
Napełnia serca otuchą, nadzieją :

Widzą przed sobą bitwy i zdobycze
I hojnie w myśli krew pogańską leją.
Takiemu władcy któż dostoi kroku ?
Któż się nie zlęknie jego szabli, wzroku ?
Drżyjcie, Litwini — już się chwila zbliża,
Gdy z murów Wilna błyśnie znamię krzyża !

Nadzieje próżne. — Cieką dni, tygodnie,
Upłynął cały, długi rok, w pokoju —
Litwa zagraża, Wallenrod niegodnie
Ani sam walczy, ani śle do boju ;
A gdy się zbudzi i coś działać zacznie,
Stary porządek wywraca opacznie.
Woła, że Zakon z świętych wyszedł karbów,
Że bracia gwałcą przysiężone śluby.
„Módlmy się ! — woła — wyrzeczmy się skarbów,
Szukajmy w cnotach i pokoju chluby !".
Narzuca posty, pokuty, ciężary,
Uciech, wygody niewinnej zaprzecza,
Lada grzech ściga najsroższemi kary
Podziemnych lochów, wygnania i miecza.

Tymczasem Litwin, co przed laty zdala
Omijał bramy zakonnej stolicy,
Teraz dokoła wsi co noc podpala
I lud bezbronny chwyta z okolicy ;
Pierwszy raz dzieci z rodziców swych progu
Drżały na straszny dźwięk żmudzkiego rogu.

Kiedyż być może czas lepszy do wojny !
Litwa szarpana wewnętrzną niezgodą —
Stąd dzielny Rusin, stąd Lach niespokojny,
Stąd krymskie chany lud potężny wiodą —
Witold, zepchnięty od Jagiełły z tronu,

Przyjechał szukać opieki Zakonu :
W nagrodę skarby i ziemie przyrzeka
I wsparcia dotąd nadaremnie czeka.

Szemrają bracia, gromadzi się rada :
Mistrza nie widać, Halban stary bieży —
W zamku w kaplicy nie znalazł Konrada.
Gdzie on ? Zapewne u narożnej wieży ;
Śledzili bracia nocne jego kroki ;
Wszystkim wiadomo : każdego wieczora,
Gdy ziemię grubsze osłaniają mroki,
On idzie błądzić po brzegach jeziora,
Albo, klęczący, przyparty do muru,
Okryty płaszczem, aż do białej zorzy
Świeci zdaleka jak posąg z marmuru,
I przez noc całą senność go nie zmorzy.
Często na cichy głos pustelnicy
Wstaje i ciche daje odpowiedzi ;
Brzmienia ich zdala ucho nie dośledzi,
Lecz widać z blasku wstrząśnionej przyłbicy,
Rąk niespokojnych, podniesionej głowy,
Że jakieś ważne toczą się rozmowy.

PIEŚŃ Z WIEŻY

Któż me westchnienia, któż me łzy policzy ?
Czy już tak długie przepłakałam lata,
Czy tyle w piersiach i oczach goryczy,
Że od mych westchnień pordzewiała krata ?
Gdzie łza upadnie, w zimny głaz przecieka,
Jak gdyby w serce dobrego człowieka.

Jest wieczny ogień w zamku Swentoroga —
Ten ogień żywią pobożne kapłany ;

Jest wieczne źródło na górze Mendoga —
To źródło żywią śniegi i tumany ;
Nikt moich westchnień i łez nie podsyca,
A dotąd boli serce i źrenica.

Pieszczoty ojca, matki uściśnienia,
Zamek bogaty, kraina wesoła,
Dni bez tęsknoty, nocy bez marzenia...
Spokojność, nakształt cichego anioła,
We dnie i w nocy, na polu i domie
Strzegła mnie zbliska, chociaż niewidomie.

Trzy piękne córki było nas u matki,
A mnie najpierwiej żądano w zamęście ;
Szczęśliwa młodość, szczęśliwe dostatki...
Któż mi powiedział, że jest inne szczęście ?
Piękny młodzieńcze, nacoś mi powiedział
To, o czem w Litwie nikt pierwej nie wiedział ?

O Bogu wielkim, o jasnych aniołach,
Kamiennych miastach, kędy wiara święta,
Gdzie lud w bogatych modli się kościołach
I kędy dziewic słuchają książęta,
Waleczni w boju, jak nasi rycerze,
Czuli w miłości, jak nasi pasterze —

Gdzie człowiek, ziemne złożywszy pokrycie,
Z duszą ulata po rozkosznem niebie...
Ach, ja wierzyłam, bo niebieskie życie
Już przeczuwałam, gdym słuchała ciebie !
Ach, dotąd marzę w dobrych i złych losach
Tylko o tobie, tylko o niebiosach !

Krzyż na twych piersiach oczy me weselił,
W nim oglądałam przyszłe szczęścia hasło...

Niestety ! z krzyża gdy piorun wystrzelił,
Wszystko dokoła ucichło, zagasło ! ...
Nic nie żałuję, choć gorzkie łzy leję,
Boś wszystko odjął, zostawił nadzieję.

*

„Nadzieję“... — cichem powtórzyły echem
Brzegi jeziora, doliny i knieje.
Zbudził się Konrad i z dzikim uśmiechem :
„Gdzież jestem ? — wołał. — Tu słychać nadzieję ?
Naco te pieśni ? Pomnę twoje szczęście...
Trzy piękne córki było was u matki,
Ciebie najpierwej żądano w zamęście...
Biada, o, biada wam, nadobne kwiatki !
Straszliwa żmija wkradła się do sadu,
A kędy piersią prześliźnie się błędną,
Usechną trawy i róże uwiędną,
I będą żółte jako piersi gadu !
Uciekaj myślą i dni przypominaj,
Którebyś dotąd pędziła wesoło,
Gdyby... Ty milczysz ? Śpiewaj i przeklinaj !
Niechaj łza straszna, co głazy przecieka,
Nie ginie darmo ! ... Zdejmę szyszak z głowy —
Tu niechaj spadnie, niech mi pali czoło ! ...
Tu niechaj spadnie — jam cierpieć gotowy.
Chcę znać zawczasu, co mnie w piekle czeka ! “.

GŁOS Z WIEŻY

Daruj, mój miły, daruj mi, jam winna !
Przyszedłeś późno, tęskno było czekać,
I mimowolnie jakaś pieśń dziecinna...
Precz mi z tą pieśnią ! — Miałażbym narzekać ?
Z tobą mój luby, z tobąśmy przeżyli

Znikomą chwilę — lecz tej jednej chwili
Nie będę zmieniać z całą ziemian zgrają
Na ciche życie, przepędzone w nudzie.
Ty sam mówiłeś, że zwyczajni ludzie
Są jako konchy, co się w bagnie tają :
Ledwie raz na rok, falą niepogody
Wepchnięte, z mętnej pokażą się wody,
Otworzą usta, raz westchną ku niebu
I znowu wrócą do swego pogrzebu.
Nie, jam na takie szczęście nie stworzona !
Jeszcze w ojczyźnie, ciche pędząc życie,
Nieraz w pośrodku towarzyszek grona
Za czemś tęskniłam i wzdychałam skrycie
I czułam serca niespokojne bicie.
Nieraz z poziomej uciekałam łąki
I na najwyższym stanąwszy pagórku,
Myślałam sobie : gdyby te skowronki
Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,
Poszłabym z niemi i tylko z tej góry
Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć,
Kwiat niezabudki, a potem za chmury
Lecieć wysoko — wysoko — i — zniknąć.
Tyś mię wysłuchał ! Ty skrzydły orlemi,
Monarcho ptaków, wzniosłeś mię do siebie !
Teraz, skowronki, o nic was nie proszę,
Bo gdzież ma lecieć, po jakie rozkosze,
Kto poznał Boga wielkiego na niebie
I kochał męża wielkiego na ziemi ?

KONRAD

Wielkość — i znowu wielkość, mój aniele !
Wielkość, dla której jęczymy w niedoli !
Kilka dni jeszcze niech serce przeboli —

Kilka dni tylko — już ich tak niewiele...
Stało się ! Próżno po czasie żałować !
Płaczmy — lecz niechaj drżą nieprzyjaciele,
Bo Konrad płakał, ażeby mordować !
Pocoś tu przyszła, poco, moja droga,
Z klasztornych murów, z świątyni pokoju ?
Jam cię poświęcił na usługi Boga...
Nie lepiejż było w świętych jego murach
Zdala ode mnie płakać i umierać,
Niż tu, w krainie kłamstwa i rozboju,
W grobowej wieży, w powolnych torturach
Konać i oczy samotne otwierać,
I przez niezłomne tej kraty okucia
Pomocy żebrać ? A ja słuchać muszę,
Patrzeć na długą skonania katuszę,
Stojąc zdaleka, i kląć moją duszę,
Że w niej są jeszcze ostatki uczucia !

GŁOS Z WIEŻY

Jeśli narzekasz, nie przychodź tu więcej !
Chociażbyś przyszedł, błagał najgoręcej,
Już nie usłyszysz ! Już okno zamykam...
Spuszczę się znowu w moją wieżę ciemną —
Niechaj w milczeniu gorzkie łzy połykam !
Bądź zdrów na wieki, bądź zdrów, mój jedyny,
I niech zaginie pamięć tej godziny,
W której nie miałeś litości nade mną !

KONRAD

Więc ty miej litość ! Ty jesteś aniołem...
Stój, a jeżeli prośba cię nie wstrzyma,

O ten róg wieży uderzę się czołem —
Będę cię błagał skonaniem Kaima !

GŁOS Z WIEŻY

O, miejmy litość nad sobą samemi !
Pomnij, mój luby, że jak ten świat wielki,
Dwoje nas tylko na ogromnej ziemi,
Na morzach piasku dwie rosy kropelki,
Że lada wietrzyk — z ziemnego padołu
Znikniem na zawsze... Ach, gińmyż pospołu !
Nie nato przyszłam, ażeby cię dręczyć ;
Nie chciałam przyjąć święcenia kapłanek,
Bo niebu serca nie śmiałam zaręczyć,
Póki w niem ziemski panował kochanek ;
Pragnęłam zostać w klasztorze i skromnie
Oddać dni moje zakonnic usłudze,
Lecz tam, bez ciebie, wszystko wokoło mnie
Było tak nowe, tak dzikie, tak cudze...
Wspomniałam sobie, że po latach wielu
Miałeś powrócić do Maryi-grodu,
Szukając zemsty na nieprzyjacielu
I broniąc sprawy biednego narodu.
Kto czeka, lata myślami ukraca.
Mówiłam sobie : on już może wraca —
Może już wrócił ; czyż nie wolno żądać,
Abym cię mogła raz jeszcze oglądać,
Abym przynajmniej umarła przy tobie ?
Pójdę więc, — rzekłam, — w pustelniczym domku,
Około drogi, na skały ułomku,
Zamknę się sama... Może rycerz jaki,
Koło mej chatki przechodzący blisko,
Wymówi czasem kochanka nazwisko...
Może pomiędzy obcemi szyszaki

Ujrzę znak jego... Niech odmieni zbroje,
Niechaj na tarczy obce godła kładnie,
Niech twarz odmieni — jeszcze serce moje
Zdaleka nawet kochanka odgadnie —
I gdy go ciężka powinność przymusza
Wszystko dokoła wyniszczać i krwawić,
Wszyscy go przeklną — będzie jedna dusza,
Co mu zdaleka śmie pobłogosławić !
Tu mój obrałam domek i grobowiec,
W cichej ustroni, kędy świętokradzki
Mych jęków nie śmie podsłuchać wędrowiec,
Ty, wiem, że lubisz samotne przechadzki ;
Myślałam sobie : on może z wieczora
Wybieży zdala od swych towarzyszy
Pomówić z wiatrem i z falą jeziora —
Pomyśli o mnie i głos mój usłyszy.
Niebo spełniło niewinne życzenia :
Przyszedłeś, moje zrozumiałeś pienia...
Dawniej, prosiłam, by mię twym obrazem
Sny pocieszały, choć obraz był niemy,
Dziś — ile szczęścia ! — dziś możemy razem —
Razem zapłakać...

KONRAD

I cóż wypłaczemy ?
Płakałem, pomnisz, kiedy się wydarłem
Na wieki wieków z twojego objęcia,
Gdy dobrowolnie dla szczęścia umarłem,
Ażeby krwawe spełnić przedsięwzięcia.
Już uwieńczone zbyt długo męczeństwo,
Teraz stanąłem u życzeń mych celu :
Mogę się zemścić na nieprzyjacielu —
A ty mi przyszłaś wydzierać zwycięstwo !

Odtąd, jak znowu z okna tej wieżycy
Spojrzałaś na mnie, w całym kręgu świata
Znowu nic niema dla mojej źrenicy,
Tylko jezioro — i wieża — i krata.
Wkoło mnie wszystko wre wojny rozruchem ;
Śród trąb odgłosu, śród oręża szczęku
Ja niecierpliwem, wytężonem uchem
Szukam ust twoich anielskiego dźwięku,
I dzień mój cały jest oczekiwaniem,
A gdy wieczornej doczekam się pory,
Chcę ją przedłużyć rozpamiętywaniem.
Ja życie moje liczę na wieczory !
Tymczasem Zakon spoczynkowi łaje,
O wojnę prosi, własnej żąda zguby,
I mściwy Halban wytchnąć mi nie daje :
Albo dawniejsze przypomina śluby,
Wyrznięte sioła i zniszczone kraje,
Albo, gdy nie chcę skargi jego słuchać,
Jednem westchnieniem, skinieniem, oczyma,
Umie przygasłą chęć zemsty rozdmuchać.
Wyrok mój zda się przybliżać do końca...
Nic już Krzyżaków od wojny nie wstrzyma !
Wczoraśmy z Rzymu odebrali gońca :
Z różnych stron świata niezliczone chmury
Pobożny zapał w pole nagromadził,
Wszyscy wołają, abym ich prowadził
Z mieczem i z krzyżem na wileńskie mury...
A przecież — wyznam ze wstydem — w tej chwili,
Kiedy się ważą narodów wyroki,
Myślę o tobie, wynajduję zwłoki,
Żebyśmy jeszcze dzień jeden przeżyli !...
Młodości, jakże wielkie twe ofiary !
Jam miłość, szczęście, jam niebo zamłodu
Umiał poświęcić dla sprawy narodu,

Z żalem, lecz z męstwem — a dzisiaj ja, stary...
Dzisiaj powinność, rozpacz, wola Boża
Pędzą mię w pole — a ja siwej głowy
Nie śmiem oderwać od tych ścian podnoża,
Ażeby twojej nie stracić — rozmowy ! ...

Umilknął. — Z wieży słychać tylko jęki...
W milczeniu długie przeciekły godziny,
Noc rozrzedniała i promyk jutrzenki
Już zarumienił lica cichej wody —
Pomiędzy liściem drzemiącej krzewiny
Ze szmerem ranne przewiewały chłody —
Ptaszęta cichem ozwały się pieniem,
Umilkły znowu — i długiem milczeniem
Znać dają, że się zbudziły za wcześnie.
Konrad powstaje, wzniósł ku wieży czoło,
Długo na kratę pogląda boleśnie ;
Słowik zanucił, Konrad naokoło
Spojrzał — już ranek... — opuścił przyłbicę,
W szerokie zwoje płaszcza twarz obwinął,
Skinieniem ręki żegna pustelnicę
I w krzakach zginął.
Tak duch piekielny od wrót pustelnika
Na odgłos dzwonu porannego znika.

IV

UCZTA

Był dzień patrona, uroczyste święto,
Komtury z braćmi do stolicy jadą,
Białe chorągwie na wieżach zatknięto :
Konrad rycerzy ma uczcić biesiadą.
Sto białych płaszczów powiewa za stołem,

Na każdym płaszczu czerni się krzyż długi :
To byli bracia — a za nimi kołem
Młodzi giermkowie stoją dla posługi.

Konrad naczele — po lewicy tronu
Wziął miejsce Witold ze swemi hetmany ;
Dawniej był wrogiem, dziś gościem Zakonu,
Przeciwko Litwie sojuszem związany.

Już mistrz powstawszy, daje uczty hasło :
‚Cieszmy się w Panu !" — wnet puhary błysły.
„Cieszmy się w Panu !" — tysiąc głosów wrzasło,
Srebra zabrzmiały, strugi wina trysły.

Wallenrod usiadł i na łokciu wsparty,
Słuchał z pogardą nieprzystojnych gwarów ;
Umilkła wrzawa, ledwie ciche żarty
Gdzieniegdzie przerwą lekki dźwięk puharów.

„Cieszmy się — rzecze. — Cóż to, bracia moi,
Tak-że rycerzom cieszyć się przystoi ?
Zrazu wrzask pjany, a teraz szmer cichy —
Mamyż ucztować, jak zbójce lub mnichy ?

Inne zwyczaje były za mych czasów,
Kiedy, na pełnem trupów bojowisku,
Śród gór kastylskich lub finlandzkich lasów
Przy obozowem piliśmy ognisku.

Tam były pieśni ! Między waszym gminem
Czyż niema barda albo menestrela ?
Serce człowieka wino rozwesela,
Ale piosenka jest dla myśli winem".

Zarazem różni śpiewacy powstali :
Tam Włoch otyły słowiczemi tony
Konrada męstwo i pobożność chwali —
Owdzie trubadur od brzegów Garony
Opiewa dzieje miłosnych pasterzy,
Zaklętych dziewic i błędnych rycerzy.

Wallenrod drzemał, piosenki ustały ;
Nagle zbudzony przerwanym łoskotem,
Cisnął Włochowi trzos, ładowny złotem :
„Mnie — rzekł — jednemu śpiewałeś pochwały ;
Jeden nie może dać innej nagrody —
Weź i pójdź z oczu!... Ów trubadur młody,
Który piękności i miłości służy,
Niechaj daruje, że w rycerskiem gronie
Dziewicy niemasz, coby mu na łonie,
Wdzięczna, przypięła marny kwiatek róży.

Tu róże zwiędły ; innego chcę barda —
Zakonnik-rycerz, innej chcę piosenki :
Niechaj mi będzie tak dzika i twarda,
Jak hałas rogów i oręża szczęki,
I tak ponura, jak klasztorne ściany,
I tak ognista, jak samotnik pijany.

Dla nas, co święcim i mordujem ludzi,
Mordercza piosnka niech świętość ogłasza,
Niechaj rozczula i gniewa i nudzi,
I znowu niechaj znudzonych przestrasza !
Takie jest życie — taka piosnka nasza.
Kto ją zaśpiewa, kto?“. „Ja“ — odpowiedział
Sędziwy starzec, który u podwojów
Między giermkami i paziami siedział,
Prusak czy Litwin, jak widać ze strojów ;

Brodę miał gęstą, wiekiem ubieloną,
Głowę obwiewa ostatek siwizny,
Czoło i oczy zakryte zasłoną,
W twarzy wyryte lat i cierpień blizny.

W prawicy starą lutnię pruską nosił,
A lewą rękę wyciągnął do stoła
I tem skinieniem posłuchania prosił.
Ucichli wszyscy. „Ja śpiewam! — zawoła. —
Dawniej Prusakom i Litwie śpiewałem ;
Dziś jedni legli w ojczyzny obronie,
Drudzy żyć nie chcą po ojczyzny zgonie,
Dobić się wolą nad jej martwem ciałem,
Jak sługi, wierne w dobrym i złym losie,
Giną na swego dobroczyńcy stosie —
Inni samotnie po lasach cię kryją,
Inni, jak Witold, między wami żyją.

Ale po śmierci... Niemcy, wy to wiecie —
Sami spytacie niecnych zdrajców kraju,
Co oni poczną, gdy na tamtym świecie,
Wskazani wiecznym ogniom na pożarcie,
Zechcą swych przodków wywoływać z raju ?
Jakim językiem poproszą o wsparcie,
Czy w ich niemieckiej, barbarzyńskiej mowie
Głos dzieci swoich uznają przodkowie ?

O dzieci, jaka na Litwie sromota !
Żaden mi, żaden nie przyniósł obrony,
Gdy od ołtarza stary wajdelota,
Byłem w niemieckich kajdanach wleczony !
Samotny, w obcej ziemi zestarzałem —
Śpiewak — niestety, śpiewać nie mam komu...
Na Litwę patrząc, oczy wypłakałem :

Dzisiaj, jeżeli chcę westchnąć do domu,
Nie wiem, gdzie leży mój dom ulubiony,
Czy tam, czy ówdzie, czyli z tamtej strony...
Tu tylko w sercu, tu się ochroniło,
Co w mej ojczyznie najlepszego było —
I te ubogie dawnych skarbów szczątki,
Weźcie mi, Niemcy, weźcie mi pamiątki.

Jak zwyciężony rycerz na igrzysku,
Zachowa życie, ale cześć utraca,
I dni wzgardzone wlekąc w pośmiewisku,
Znowu do swego zwycięzcy powraca
I raz ostatni wytężając ramię,
Broń swą pod jego stopami rozłamie,
Tak mię ostatnia natchnęła ochota,
Jeszcze do ludzi ośmieliłem rękę :
Niech wam ostatni w Litwie wajdelota
Nuci ostatnią litewską piosenkę !".

Skończył i czekał mistrza odpowiedzi.
Czekają wszyscy w milczeniu głębokiem ;
Konrad badawczem i szyderczem okiem
Witolda rysów i poruszeń śledzi.

Postrzegli wszyscy, kiedy wajdelota
Mówił o zdrajcach, jak się Witold mienił,
Zsiniał, pobladnął, znowu się czerwienił —
Dręczy go równie i gniew i sromota.
Nakoniec, szablę ściskając u boku,
Idzie, zdziwioną gromadę roztrąca,
Spojrzał na starca, zahamował kroku,
I chmura gniewu, nad czołem wisząca,
Opadła nagle w bystrym łez potoku ;

Powrócił, usiadł ; płaszczem twarz zasłania
I w tajemnicze utonął dumania.

A Niemcy ścicha : „Czyliż do biesiady
Przypuszczać mamy żebrające dziady ?
Kto słucha pieśni i kto ją rozumie ?".
Takie odgłosy w biesiadniczym tłumie
Coraz żywszemi przerywano śmiechy ;
Paziowie krzyczą, świstając w orzechy :
„Oto jest nuta litewskiego śpiewu !".
Wtem Konrad powstał : „Waleczni rycerze !
Dziś Zakon, wedle starego zwyczaju,
Od miast i książąt podarunki bierze ;
Jak winne hołdy z podległego kraju,
Żebrak wam piosnkę przynosi w ofierze ;
Złożenia hołdu nie brońmy starcowi,
Weźmijmy piosnkę — będzie to grosz wdowi !

Pośród nas widzim książęcia Litwinów,
Gośćmi Zakonu są jego wodzowie ;
Miło im będzie pamięć dawnych czynów
Słyszeć, w ojczystej odświeżoną mowie.
Kto nie rozumie — niechaj się oddali !
Ja czasem lubię te posępne jęki
Niezrozumiałej litewskiej piosenki,
Jak lubię łoskot rozhukanej fali,
Albo szmer cichy wiosennego deszczu...
Przy nich spać miło. Śpiewaj, stary wieszczu !".

PIEŚŃ WAJDELOTY

Kiedy zaraza Litwę ma uderzyć,
Jej przyjście wieszcza odgadnie źrenica,
Bo jeśli słuszna wajdelotom wierzyć,

Nieraz na pustych cmentarzach i błoniach
Staje widomie morowa dziewica,
W bieliźnie, z wiankiem ognistym na skroniach,
Czołem przenosi białowieskie drzewa,
A w ręku chustką skrwawioną powiewa.

Strażnicy zamków oczy pod hełm kryją,
A psy wieśniaków, zarywszy pysk w ziemi,
Kopią, śmierć wietrzą i okropnie wyją.
Dziewica stąpa kroki złowieszczemi
Na sioła, zamki i bogate miasta,
A ile razy krwawą chustą skinie,
Tyle pałaców zmienia się w pustynie —
Gdzie nogą stąpi, świeży grób wyrasta.

Zgubne zjawisko ! — Ale więcej zguby
Wróżył Litwinom od niemieckiej strony
Szyszak błyszczący ze strusiemi czuby
I płaszcz szeroki krzyżem naczerniony.

Gdzie przeszły stopy takiego widziadła,
Niczem jest klęska wiosek albo grodów :
Cała kraina w mogiłę zapadła.
Ach, kto litewską duszę mógł ochronić,
Pójdź do mnie ! Siądziem na grobie narodów,
Będziemy dumać, śpiewać i łzy ronić !

O wieści gminna, ty arko przymierza
Między dawnemi i młodszemi laty,
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty !

Arko, tyś żadnym nie złamana ciosem,
Póki cię własny twój lud nie znieważy !

O pieśni gminna, ty stoisz na straży
Narodowego pamiątek kościoła,
Z archanielskiemi skrzydłami i głosem —
Ty czasem dzierżysz i broń archanioła.

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje —
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega ;
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić jej żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega
I stamtąd dawne opowiada czasy.
Tak słowik, z ogniem zajętego gmachu
Wyleci, chwilę przysiędzie na dachu —
Gdy dachy runą, on ucieka w lasy
I brzmiącą piersią nad zgliszcza i groby
Nuci podróżnym piosenkę żałoby.

Słuchałem piosnek. — Nieraz kmieć stuletni,
Trącając kości żelazem oraczem,
Stanął i zagrał na wierzbowej fletni
Pacierz umarłych, lub rymownym płaczem
Was głosił, wielcy ojcowie — bezdzietni !..
Echa mu wtórzą, ja słuchałem zdala ;
Tem mocniej widok i piosnka rozżala,
Żem był jedynym widzem i słuchaczem.

Jako w dzień sądny z grobowca wywoła
Umarłą przeszłość trąba archanioła,
Tak na dźwięk pieśni kości spod mej stopy
W olbrzymie kształty zbiegły się i zrosły,
Z gruzów powstają kolumny i stropy,
Jeziora puste brzmią licznemi wiosły,
I widać zamków otwarte podwoje,

Korony książąt, wojowników zbroje,
Śpiewają wieszcze, tańczy dziewic grono —
Marzyłem cudnie, srodze mnie zbudzono !

Zniknęły lasy i ojczyste góry.
Myśl, znużonemi ulatując pióry,
Spada, w domową tuli się zaciszę ;
Lutnia umilkła w odrętwiałem ręku —
Śród żałosnego spółrodaków jęku
Często przeszłości głosu nie dosłyszę !
Lecz dotąd iskry młodego zapału
Tlą w głębi piersi ; nieraz ogień wzniecą,
Duszę ożywią i pamięć oświecą.
Pamięć naówczas, jak lampa z kryształu,
Ubrana pędzlem w malowne obrazy :
Chociaż ją zaćmi pył i liczne skazy,
Jeżeli świecznik postawisz w jej serce,
Jeszcze świeżością barwy znęci oczy,
Jeszcze na ścianach pałacu roztoczy
Kraśne, acz nieco przyćmione, kobierce.

Gdybym był zdolny własne ognie przelać
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci
Zmarłej przeszłości, gdybym umiał strzelać
Brzmiącemi słowy do serca współbraci —
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili
Uczuli w sobie dawne serca bicie,
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy
I chwilę jednę tak górnie przeżyli,
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie.

Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki ?
I swoich czasów śpiewak nie obwini,

Bo jest mąż wielki, żywy, niedaleki. . .
O nim zaśpiewam... Uczcie się, Litwini !

*

Umilknął starzec i dokoła słucha,
Czy Niemcy dalej pozwolą mu śpiewać.
W sali dokoła była cichość głucha :
Ta zwykła wieszczów nanowo zagrzewać.

Zaczął więc piosnkę, ale innej treści,
Bo głos na spadki wolniejsze rozmierzał,
Po strunach słabiej i rzadziej uderzał
I z hymnu zstąpił do prostej powieści.

POWIEŚĆ WAJDELOTY

Skąd Litwini wracali ? Z nocnej wracali wycieczki,
Wieźli łupy bogate, w zamkach i cerkwiach zdobyte
Tłumy brańców niemieckich z powiązanemi rękami,
Ze stryczkami na szyjach, biegą przy koniach zwycięzców :
Poglądają ku Prusom — i zalewają się łzami,
Poglądają na Kowno — i polecają się Bogu !
W mieście Kownie, pośrodku, ciągnie się błonie Peruna :
Tam książęta litewscy, gdy po zwycięstwie wracają,
Zwykli rycerzy niemieckich palić na stosie ofiarnym.
Dwaj rycerze pojmani jadą bez trwogi do Kowna :
Jeden młody i piękny, drugi latami schylony.
Oni sami wśród bitwy, hufce niemieckie rzuciwszy,
Między Litwinów uciekli ; książę Kiejstut ich przyjął,
Ale strażą otoczył, w zamek za sobą prowadził,
Pyta, z jakiej krainy, w jakich zamiarach przybyli.
„Nie wiem, — rzecze młodzieniec, — jaki mój ród i nazwisko,

Bo dziecięciem od Niemców byłem w niewolę
schwytany.
Pomnę tylko, że kędyś w Litwie, śród miasta
wielkiego
Stał dom moich rodziców ; było to miasto drewniane,
Na pagórkach wyniosłych, dom był z cegły czerwonej ;
Wkoło pagórków, na błoniach puszcza szumiała
jodłowa,
Środkiem lasów daleko białe błyszczało jezioro,
Razu jednego w nocy wrzask nas ze snu przebudził,
Dzień ognisty zaświtał w okna, trzaskały się szyby,
Kłęby dymu buchnęły po gmachu ; wybiegliśmy w
bramę —
Płomień wiał po ulicach, iskry sypały się gradem,
Krzyk okropny : „Do broni ! Niemcy są w mieście !
Do broni !"...
Ojciec wypadł z orężem — wypadł i więcej nie wrócił.
Niemcy wpadli do domu ; jeden wypuścił się za mną.
Zgonił, porwał na koń ; nie wiem co stało się dalej,
Tylko krzyk mojej matki długo, długo słyszałem...
Pośród szczęku oręża, domów drżących łoskotu,
Krzyk ten ścigał mię długo, krzyk ten pozostał w mem
uchu.
Teraz jeszcze gdy widzę pożar i słyszę wołania,
Krzyk ten budzi się w duszy jako echo w jaskini
Za odgłosem piorunu... Oto jest wszystko co z Litwy,
Co od rodziców wywiozłem. W sennych niekiedy
marzeniach
Widzę postać szanowną matki i ojca i braci,
Ale coraz to dalej jakaś mgła tajemnicza,
Coraz grubsza i coraz ciemniej zasłania ich rysy.
Lata dziecińStwa płynęły, żyłem wśród Niemców jak
Niemiec ;
Miałem imię Waltera, Alfa nazwisko przydano ;

Imię było niemieckie, dusza litewska została,
Został żal po rodzinie, ku cudzoziemcom nienawiść,
Winrich, mistrz krzyżacki, chował mię w swoim pałacu,
On sam do chrztu mię trzymał, kochał i pieścił jak
syna —
Jam się nudził w pałacach, z kolan Winricha uciekał
Do wajdeloty starego. Wówczas pomiędzy Niemcami
Był wajdelota litewski, wzięty w niewolę przed laty ;
Służył tłumaczem wojsku. Ten, gdy się o mnie
dowiedział,
Żem sierota i Litwin, często mię wabił do siebie,
Rozpowiadał o Litwie, duszę stęsknioną otrzeźwiał
Pieszczotami i dźwiękiem mowy ojczystej i pieśnią.
On mię często ku brzegom Niemna sinego prowadził —
Stamtąd lubiłem na miłe góry ojczyste poglądać.
Gdyśmy do zamku wracali, starzec łzy mi ocierał, a
zemstę
Przeciw Niemcom podniecał. Pomnę jak w zamek
wróciwszy,
Nóż ostrzyłem tajemnie, z jaką zemsty rozkoszą
Rżnąłem kobierce Winricha lub kaleczyłem zwier-
ciadła,
Na tarcz jego błyszczącą piasek miotałem i plwałem.
Potem, w latach młodzieńczych, częstośmy z portu
Kłajpedy
W łódkę ze starcem siadali brzegi litewskie odwiedzać,
Rwałem kwiaty ojczyste, a czarodziejska ich wonia
Tchnęła w duszę jakoweś dawne i ciemne
wspomnienia ;
Upojony tą wonią, zdało się, że dziecinniałem,
Że w ogrodzie rodziców z braćmi igrałem małymi.
Starzec pomagał pamięci ; on piękniejszemi słowami,
Niźli zioła i kwiaty, przeszłość szczęśliwą malował :
Jakby miło w ojczyźnie, pośród przyjaciół i krewnych

Pędzić chwile młodości ; ileż to dzieci litewskich
Szczęścia takiego nie znają, płacząc w kajdanach
Zakonu.
To słyszałem na błoniach ; lecz na wybrzeżach Połągi,
Gdzie grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze
I z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa,
„Widzisz — mawiał mi starzec — łąki nadbrzeżnej
kobierce ?
Już je piasek obleciał ; widzisz te zioła pachnące ?
Czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie —
Ach, daremnie, bo nowa żwiru nasuwa się hydra,
Białe pletwy roztacza, lądy żyjące podbija
I rozciąga dokoła dzikiej królestwo pustyni.
Synu, piaski, zza morza burzą pędzone — to Zakon“.
Serce bolało, słuchając. Chciałem mordować Krzyżaków
Albo do Litwy uciekać ; starzec hamował zapędy.
„Wolnym rycerzom—powiadał—wolno wybierać oręże
I na polu otwartem bić się równemi siłami ;
Zostań jeszcze i przyjmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, dalej, obaczysz, co
począć“.
Byłem posłuszny starcowi ; szedłem z wojskami
Teutonów,
Ale w pierwszej potyczce, ledwiem zobaczył chorągwie,
Ledwiem narodu mojego pieśni wojenne usłyszał,
Poskoczyłem ku naszym, starca za sobą przywodzę.
Jako sokół, wydarty z gniazda i w klatce żywiony,
Choć srogiemi mękami łowcy odbiorą mu rozum
I puszczą, ażeby braci sokołów wojował —
Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnie oczyma
Po niezmierzonych obszarach swojej błękitnej ojczyzny,
Wolnem odetchnie powietrzem, szelest swych skrzydeł
usłyszy —
Pójdź, myśliwcze, do domu, z klatką nie czekaj sokoła!“.

Skończył młodzieniec, a Kiejstut słuchał ciekawie,
słuchała
Córa Kiejstuta, Aldona, młoda i piękna jak bóstwo.
Jesień płynie, z jesienią ciągną się długie wieczory —
Kiejstutówna, jak zwykle, w sióstr i rówiennic orszaku
Za krosnami usiada albo się bawi przędziwem ;
A gdy igły migocą, toczą się chybkie wrzeciona,
Walter stoi i prawi cuda o krajach niemieckich
I o swojej młodości. Wszystko, co Walter powiadał,
Łowi uchem dziewica, myślą łakomą połyka ;
Wszystko umie napamięć, nieraz i we śnie powtarza.
Walter mówił, jak wielkie zamki i miasta za Niemnem,
Jakie bogate ubiory, jakie wspaniałe zabawy,
Jak na gonitwach waleczni kopije kruszą rycerze,
A dziewice z krużganków patrzą i wieńce przyznają.
Walter mówił o wielkim Bogu, co włada za Niemnem,
I o niepokalanej Syna Bożego Rodzicy,
Której postać anielską w cudnym pokazał obrazku.
Ten obrazek młodzieniec nosił pobożnie na piersiach —
Dziś Litwince darował, gdy ją do wiary nawracał,
Gdy pacierze z nią mówił. Chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał ; niestety, on ją i tego nauczył,
Czego dotąd nie umiał : on nauczył ją kochać.
I sam uczył się wiele. Z jakiem rozkosznem wzru-
szeniem
Słyszał z ust jej litewskie, już zapomniane wyrazy !
Z każdym wskrzeszonym wyrazem budzi się nowe
uczucie,
Jako iskra z popiołu ; były to słodkie imiona
Pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni, i jeszcze
Słodszy wyraz nad wszystko : wyraz miłości, któremu
Niemasz równego na ziemi, oprócz wyrazu „ojczyzna“.
„Skądże — pomyślał Kiejstut — nagła w mej córce
odmiana ?

Gdzie jej dawna wesołość, gdzie jej dziecinne rozrywki?
W święto wszystkie dziewice idą zabawiać się tańcem —
Ona siedzi samotna albo z Walterem rozmawia.
W dzień powszedni dziewice trudnią się igłą lub krośną —
Jej z rąk igła wypada, nici plątają się w krośnach;
Sama nie widzi, co robi — wszyscy mi to powiadają.
Wczora spostrzegłem, że róży kwiatek wyszyła zielono,
A listeczki czerwonym umalowała jedwabiem.
Jakże mogłaby widzieć, kiedy jej oczy i myśli
Tylko oczu Waltera, rozmów Waltera szukają!
Ile razy zapytam: „Gdzie ona poszła?".—„W dolinę".
„Skąd powraca?". — „Z doliny". Cóż w tej dolinie? Młodzieniec
Ogród dla niej zasadził. Jestże ten ogród piękniejszy,
Niźli me sady zamkowe (pyszne Kiejstut miał sady,
Pełne jabłek i gruszek — dziewic kowieńskich ponęta).
Nie ogródek to wabi... Zimą widziałem jej okna;
Cała szyba tych okien, co obrócone do Niemna,
Czysta jakby śród maja — lód nie zaciemnił kryształu.
Walter chodzi tamtędy: pewnie siedziała u okna
I gorącem westchnieniem lody na szybach stopiła.
Ja myślałem, że on ją czytać i pisać nauczy,
Słysząc, że wszyscy książęta dzieci swe uczyć zaczęli.
Chłopiec dobry, waleczny, jak w pismach ćwiczony...
Mamże go z domu wypędzić? On tak potrzebny dla Litwy...
Hufce najlepiej szykuje, sypie najlepiej okopy,
Broń piorunową urządza, jeden mi staje za wojsko...
Pójdź, Walterze, bądź zięciem moim i bij się za Litwę!".

Walter pojął Aldonę. — Niemcy, wy pewnie myślicie,
Że tu koniec powieści; w waszych miłosnych romansach,

Gdy się rycerze pożenią, kończy trubadur piosenkę,
Tylko dodaje, że żyli długo i byli szczęśliwi.
Walter kochał swę żonę, lecz miał duszę szlachetną;
Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie.

Ledwie śniegi ponikły, pierwszy zanucił skowronek
(Innym krajom skowronek miłość i rozkosz obwieszcza,
Biednej Litwie co roku wróży pożary i rzezie) —
Ciągną szeregi krzyżowe niezliczonemi tłumami.
Już od gór zaniemeńskich echo do Kowna zanosi
Wojska mnogiego hałasy, chrzęst zbrój, rżenia rumaków.
Jak mgła, spuszcza się obóz, błonia szeroko zalega —
Tu i ówdzie migocą straży naczelnych proporce,
Jak łyskania przed burzą. Niemcy stanęli na brzegu,
Mosty po Niemnie rzucili, Kowno dokoła oblegli,
Dzień w dzień od taranów walą się mury i baszty,
Noc w noc miny burzące kopią się w ziemi jak krety —
Pod niebiosami ognistym unosi się bomba polotem
I jak sokół na ptaki, z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło — Litwa do Kiejdan uchodzi;
W gruzach runęły Kiejdany—Litwa po górach i lasach
Broni się; Niemcy dalej ciągną, plądrując i paląc.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach, ostatni w odwrocie.
Kiejstut zawsze spokojny; od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać.
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli;
Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli; chowany wśród Niemców,
Znał potęgę Zakonu, wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, oręże i wojska.

Prusy broniły się niegdyś — starły Prusaków Teutony.
Litwa pierwej czy później równej ulegnie kolei.
Widział niedolę Prusaków, drżał nad przyszłością Litwinów.
„Synu! — Kiejstut zawoła — zgubnym ty jesteś prorokiem!
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby otchłanie pokazać.
Kiedy ciebie słuchałem, zda się że ręce osłabły,
I z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż poczniemy z Niemcami?". — „Ojcze, — Walter powiadał, —
Wiem ja sposób jedyny, straszny — skuteczny, niestety!
Może kiedyś objawię". Tak rozmawiali po bitwie,
Nim ich trąbka ku nowym bitwom i klęskom wezwała.

Kiejstut coraz smutniejszy, Walter jak mocno zmieniony!
Dawniej, chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły,
W chwilach nawet szczęśliwych lekko mrok zamyślenia
Lice jego przysłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lice spokojne,
Zawsze ją witał uśmiechem, czułem pożegnał wejrzeniem.
Teraz, zda się, że jakaś skryta dręczyła go boleść.
Cały ranek przed domem z założonemi rękami
Patrzy na dymy płonących zdala miasteczek i wiosek,
Patrzy dzikiemi oczyma; w nocy porywa się ze snu
I przez okno krwawą łunę pożarów uważa.

„Mężu drogi, co tobie?" — pyta ze łzami Aldona.
„Co mnie? Będęż spokojnie drzemał, aż Niemcy napadną

I sennego związawszy, w ręce katowskie oddadzą?".
„Boże uchowaj, mężu! Straże pilnują okopów".
„Prawda, straże pilnują, czuwam i szablę mam w ręku —
Ale, kiedy wyginą straże, wyszczerbi się szabla...
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję"...
„Bóg nam zdarzy pociechę z dziatek"... „Wtem Niemcy napadną,
Żonę zabiją, dzieci wydrą, uwiozą daleko
I nauczą wypuszczać strzałę na ojca własnego! ...
Ja sam możebym ojca, możebym braci mordował,
Gdyby nie wajdelota"... „Drogi Walterze, ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców!".
„My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim.
Tak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach wyśledzi?". „Znowu dalej ujedziem".
„Dalej, dalej, nieszczęsna? Dalej ujedziem za Litwę,
W ręce Tatarów, lub Rusi?". Na tę odpowiedź Aldona,
Pomieszana, milczała: jej zdawało się dotąd,
Że ojczyzna, jak świat, jest długa, szeroka, bez końca;
Pierwszy raz słyszy, że w Litwie całej nie było schronienia.
Załamawszy ręce, pyta Waltera, co począć. —
„Jeden sposób, Aldono, jeden pozostał Litwinom
Skruszyć potęgę Zakonu; mnie ten sposób wiadomy —
Lecz nie pytaj, dla Boga! Stokroć przeklęta godzina,
W której, od wrogów zmuszony, chwycę się tego sposobu".
Więcej nie chciał powiadać, próśb Aldony nie słuchał —
Litwy tylko nieszczęścia słyszał i widział przed sobą,
Aż nakoniec płomień zemsty, w milczeniu karmiony
Klęsk i cierpień widokiem, wzdął się i serce ogarnął;
Wszystkie wytrawił uczucia, nawet jedyne uczucie,

Dotąd mu żywot słodzące : nawet uczucie miłości.
Tak u białowieskiego dębu, jeżeli myśliwi,
Ogień tajemny wznieciwszy, rdzeń głęboko wypalą,
Wkrótce lasów monarcha straci swe liście powiewne,
Z wiatrem polecą gałęzie, nawet jedyna zieloność,
Dotąd mu czoło zdobiąca, uschnie : korona jemioły.

Długo Litwini po zamkach, górach i lasach błądzili,
Napadając na Niemców, lub napadani wzajemnie.
Aż stoczyła się straszna bitwa na błoniach Rudawy,
Gdzie kilkadziesiąt tysięcy młodzi litewskiej poległo
Obok tyluż tysięcy wodzów i braci krzyżowych.
Niemcom wkrótce posiłki świeże ciągnęły zza morza —
Kiejstut i Walter z garstką mężów przebili się w góry.
Z wyszczerbionemi szablami, z porąbanemi tarczami,
Kurzem, posoką okryci, weszli posępni do domu.
Walter nie spojrzał na żonę, słowa do niej nie wyrzekł,
Po niemiecku z Kiejstutem i z wajdelotą rozmawiał.
Nie rozumiała Aldona — serce tylko wróżyło
Jakieś okropne wypadki ; gdy zakończyli obradę,
Wszyscy trzej ku Aldonie smutne zwrócili wejrzenie.
Walter patrzał najdłużej, z niemej wyrazem rozpaczy ;
Wtem gęstemi kroplami łzy mu rzuciły się z oczu.
Upadł do nóg Aldony, ręce jej cisnął do serca
I przepraszał za wszystko co ucierpiała dla niego.
„Biada — mówił — niewiastom, jeśli kochają szaleńców,
Których oko wybiegać lubi za wioski granice,
Których myśli, jak dymy, wiecznie nad dach ulatują,
Których sercu nie może szczęście domowe wystarczyć.
Wielkie serca, Aldono, są jak ule zbyt wielkie :
Miód ich zapełnić nie może, stają się gniazdem jaszczurek.
Daruj, luba Aldono ! Dzisiaj chcę w domu pozostać,

Dzisiaj o wszystkiem zapomnę, dzisiaj będziemy dla siebie
Czem bywaliśmy dawniej. Jutro“... I nie śmiał dokończyć.
Jaka radość Aldonie ! Zrazu myśli nieboga,
Że się Walter odmieni, będzie spokojny, wesoły ;
Widzi go mniej zamyślonym, w oczach więcej żywości,
W licach dostrzega rumieniec. Walter u nóg Aldony
Cały wieczór przepędził ; Litwę, Krzyżaków i wojnę
Rzucił na chwilę wniepamięć, mówił o czasach szczęśliwych
Swego do Litwy przybycia, pierwszej z Aldoną rozmowy,
Pierwszej w dolinę przechadzki, i o wszystkich dziecinnych,
Ale sercu pamiętnych pierwszej miłości zdarzeniach.
Zacóż tak lube rozmowy słowem „jutro“ przerywa ?
I zamyśla się znowu, długo na żonę pogląda —
Łzy mu się kręcą w oczach, chciałby coś wyrzec i nie śmie...
Czyliż dawne uczucia, szczęścia dawnego pamiątki,
Na to tylko wywołał, aby się z niemi pożegnać ?
Wszystkie rozmowy, wszystkie tego wieczora pieszczoty
Czyliż będą ostatnim blaskiem świecznika miłości ?...
Darmo się pytać. Aldona patrzy, czeka, niepewna,
I wyszedłszy z komnaty, jeszcze przez szpary pogląda.
Walter wino nalewał, mnogie wychylał puhary
I wajdelotę starego na noc u siebie zatrzymał.

Słońce ledwo wschodziło. Tętnią po bruku kopyta —
Dwaj rycerze z tumanem rannym śpieszą się w góry.
Wszystkieby straże zmylili — jednej nie mogą omylić...

Czujne są oczy kochanki... Zgadła ucieczkę Aldona,
Drogę w dolinie zabiegła. Smutne to było spotkanie.
„Wróć się, o luba, do domu, wróć się! Ty będziesz
szczęśliwa !
Może będziesz szczęśliwa w lubej rodziny objęciach ;
Jesteś młoda i piękna, znajdziesz pociechę, zapomnisz !
Wielu książąt dawniej o twą starało się rękę...
Jesteś wolna, jesteś wdową po wielkim człowieku,
Który dla dobra ojczyzny wyrzekł się — nawet i ciebie !
Bywaj zdrowa, zapomnij ! Zapłacz niekiedy nade
mną :
Walter wszystko utracił, Walter sam jeden pozostał ;
Jako wiatr na pustyni, błąkać się musi po świecie,
Zdradzać, mordować i potem ginąć śmiercią hanie-
bną ! ...
Ale po latach ubiegłych imię Alfa nanowo
Zabrzmi w Litwie, i kiedyś z ust wajdelotów posłyszysz
Czyny jego. Natenczas, luba, natenczas pomyślisz,
Że ów rycerz straszliwy, chmurą tajemnic okryty,
Jednej tobie znajomy, twoim był kiedyś małżonkiem —
I niech dumy uczucie będzie pociechą sieroctwa !“.
Słucha w milczeniu Aldona, chociaż nie słyszy ni słowa.
„Jedziesz, jedziesz !“ — krzyknęła i zatrwożyła się sama
Słowem „jedziesz“; to jedno słowo brzmiało w jej uchu.
Nic nie myśliła, o niczem pomnieć nie mogła ; jej
myśli,
Jej pamiątki, jej przyszłość, wszystko splątało się
tłumnie,
Ale sercem odgadła, że niepodobna powracać,
Że niepodobna zapomnieć ; oczy zbłąkane toczyła,
Kilka razy Waltera dzikie spotkała wejrzenie :
W tem wejrzeniu już dawnej nie znajdowała pociechy —
I zdawała się szukać czegoś nowego — i wkoło
Oglądała się znowu... Wkoło pustynie i lasy,

W środku lasu samotna błyszczy za Niemnem wieżyca.
Był to klasztor zakonnic, chrześcijan smutna budowa ;
Na tej wieżycy spoczęły oczy i myśli Aldony,
Jak gołąbek, porwany wiatrem śród morskiej topieli,
Pada na maszty samotne nieznajomego okrętu.
Walter zrozumiał Aldonę ; udał się za nią w milczeniu,
Opowiedział swój zamiar, taić przed światem nakazał,
I u bramy... Niestety, straszne to było rozstanie ! —
Alf z wajdelotą pojechał ; dotąd nic o nich nie słychać.
Biada, biada, jeżeli dotąd nie spełnił przysięgi,
Jeśli, zrzekłszy się szczęścia, szczęście Aldony
zatruwszy...
Jeśli tyle poświęcił i dla niczego poświęcił...
Przyszłość resztę pokaże. Niemcy, skończyłem
piosenkę.

*

„Koniec, już koniec ! — wielki szmer na sali —
I cóż ów Walter ? Jakie jego czyny ?
Gdzie, nad kim zemsta ?“ — słuchacze wołali.
Mistrz tylko jeden wśród szumnej drużyny
Siedział milczący z pochyloną głową,
Mocno wzruszony : porywa co chwila
Puhary z winem i do dna wychyla.
W jego postaci zmianę widać nową,
Późne uczucia w nagłych błyskawicach
Po rozpalonych krzyżują się licach :
Coraz to groźniej czoło mu się chmurzy,
Usta drżą sine, obłąkane oczy
Latają, niby jaskółki śród burzy —
Wreszcie płaszcz zrzuca i na środek skoczy :
„Gdzie koniec pieśni ? Wraz mi koniec śpiewaj !
Albo daj lutnię ! Czego drżący stoisz ?
Podaj mi lutnię, puhary nalewaj !
Zaśpiewam koniec, jeśli ty się boisz.

Znam ja was ! Każda piosnka wajdeloty
Nieszczęście wróży, jak nocnych psów wycie...
Mordy, pożogi wy śpiewać lubicie —
Nam zostawiacie chwałę i zgryzoty ! ...
Jeszcze w kolebce wasza pieśń zdradziecka
Nakształt gadziny obwija pierś dziecka
I wlewa w duszę najsroższe trucizny :
Głupią chęć sławy i miłość ojczyzny.

Ona to idzie za młodzieńcem w ślady,
Jak zabitego cień nieprzyjaciela —
Zjawia się nieraz w pośrodku biesiady,
Aby krew mieszać w puhary wesela.
Słuchałem pieśni — zanadto, niestety ! ...
Stało się stało... Znam cię, zdrajco stary !
Wygrałeś ! Wojna — tryumf dla poety !
Dajcie mi wina ! Spełnią się zamiary...

Wiem koniec pieśni... Nie... zaśpiewam inną,
Kiedy walczyłem na górach Kastyli,
Tam mnie Maurowie ballady uczyli...
Starcze, graj nutę, tę nutę dziecinną,
Którą w dolinie.... O, był to czas błogi...
Na tę muzykę zwykłem zawsze nucić...
Wracajże, starcze, bo przez wszystkie bogi
Niemieckie, pruskie“... Starzec musiał wrócić.
Uderzył lutnię i głosem niepewnym
Szedł za dzikiemi tonami Konrada,
Jako niewolnik za swym panem gniewnym.

Tymczasem światła gasnęły na stole,
Rycerzy długa uśpiła biesiada.
Lecz Konrad śpiewa — budzą się nanowo,
Stają i w szczupłem ścisnąwszy się kole,
Pilnie zważają każde pieśni słowo.

BALLADA

ALPUHARA

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza,
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.

Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy ;
Hiszpan pod miastem zatknął sztandary,
Jutro do szturmu uderzy.

O wschodzie słońca ryknęły spiże,
Rwą się okopy, mur wali —
Już z minaretów błysnęły krzyże,
Hiszpanie zamku dostali.

Jeden Almanzor, widząc swe roty
Zbite w upornej obronie,
Przerznął się między szable i groty,
Uciekł i zmylił pogonie.

Hiszpan na świeżej zamku ruinie,
Pomiędzy gruzy i trupy
Zastawia ucztę, kąpie się w winie,
Rozdziela brańce i łupy.

Wtem straż odźwierna wodzom donosi,
Że rycerz z obcej krainy
O posłuchanie corychlej prosi,
Ważne przynosząc nowiny.

Był to Almanzor, król muzułmanów ;
Rzucił bezpieczne ukrycie,
Sam się oddaje w ręce Hiszpanów
I tylko błaga o życie.

„Hiszpanie ! — woła — na waszym progu
Przychodzę czołem uderzyć !
Przychodzę służyć waszemu Bogu,
Waszym prorokom uwierzyć.

Niechaj rozgłosi sława przed światem,
Że Arab, że król zwalczony
Swoich zwycięzców chce zostać bratem,
Wasalem obcej korony !“.

Hiszpanie męstwo cenić umieją :
Gdy Almanzora poznali,
Wódz go uścisnął, inni koleją,
Jak towarzysza, witali.

Almanzor wszystkich wzajemnie witał,
Wodza najczulej, uścisnął :
Objął za szyję, za ręce chwytał,
Na ustach jego zawisnął.

A wtem osłabnął, padł na kolana —
Ale rękami drżącemi
Wiążąc swój zawój do nóg Hiszpana,
Ciągnął się za nim po ziemi.

Spojrzał dokoła, wszystkich zadziwił :
Zbladłe, zsiniałe miał lice,
Śmiechem okropnym usta wykrzywił,
Krwią mu nabiegły źrenice.

„Patrzcie, o giaury ! Jam siny, blady —
Zgadnijcie, czyim jest posłem ?
Jam was oszukał : wracam z Grenady,
Ja wam zarazę przyniosłem !

Pocałowaniem wszczepiłem w duszę
Jad, co was będzie pożerać...
Pójdźcie i patrzcie na me katusze.
Wy tak musicie umierać“.

Rzuca się, krzyczy, ściąga ramiona,
Chciałby uściśnieniem wiecznym
Wszystkich Hiszpanów przykuć do łona...
Śmieje się śmiechem serdecznym.

Śmiał się — już skonał — jeszcze powieki,
Jeszcze się usta nie zwarły,
I śmiech piekielny został na wieki
Do zimnych liców przymarły.

Hiszpanie, trwożni, z miasta uciekli,
Dżuma za nimi wślad biegła ;
Z gór Alpuhary nim się wywlekli,
Reszta ich wojska poległa.

Tak to przed laty mścili się Maurowie ;
Wy chcecie wiedzieć o zemście Litwina ?
Cóż, jeśli kiedy uiści się w słowie
I przyjdzie mieszać zarazę do wina ? —
Ale nie — o, nie ! — Dziś inne zwyczaje.
Książe Witołdzie, dziś litewskie pany
Przychodzą własne oddawać nam kraje
I zemsty szukać na swój lud znękany !

Przecież nie wszyscy... O nie, na Peruna !
Jeszcze są w Litwie... jeszcze wam zaśpiewam...
Precz mi z tą lutnią — zerwała się struna.
Nie będzie pieśni — ale się spodziewam,
Że kiedyś będą... Dziś — zbytnie puhary...
Zanadto piłem... Cieszcie się — i bawcie...
A ty Al... manzor... — Precz mi z oczu, stary !
Precz mi z Albanem ! — Samego zostawcie ! ...

Rzekł i niepewną powracając drogą,
Znalazł swe miejsce, na krzesło się rzucił,
Jeszcze coś groził — uderzywszy nogą.
Stół z puharami i winem wywrócił.
Nakoniec osłabł, głowa się schyliła
Na poręcz krzesła — wzrok po chwili gasnął,
I drżące usta piana mu okryła,
I zasnął.

Rycerze chwilę w zadumieniu stali,
Wiedzą o smutnym nałogu Konrada,
Że gdy się winem zbytecznie zapali,
W dzikie zapały, w bezprzytomność wpada.
Ale na uczcie ! Publiczna sromota !
Przy obcych ludziach, w bezprzykładnym gniewie !
Kto go podniecił ? Gdzie ów wajdelota ?
Wymknął się z ciżby, i nikt o nim nie wie.

Były powieści, że Halban przebrany
Litewską piosnkę Konradowi śpiewał,
Że tym sposobem znowu chrześcijany
Przeciw pogaństwu do wojny zagrzewał.
Ale skąd w mistrzu tak nagłe odmiany ?
Za co się Witołd tak srodze rozgniewał ?

Co znaczy mistrza dziwaczna ballada ?
Każdy w domysłach nadaremnie bada.

V

WOJNA

Wojna ! — Już Konrad hamować nie zdoła
Zapędów ludu i nalegań rady ;
Dawno już cały kraj o pomstę woła
Za Litwy napaść i Witołda zdrady.
Witołd, co wsparcia u Zakonu żebrał
Dla odzyskania wileńskiej stolicy,
Teraz, po uczcie, gdy wieści odebrał,
Że wkrótce ruszą w pole krzyżownicy,
Zmienił zamiary, nową przyjaźń zdradził
I swych rycerzy tajnie uprowadził.

W zamki Teutonów, leżące po drodze,
Wszedł z wymyślonym od mistrza rozkazem,
A potem, oręż wydarłszy załodze,
Wszystko wyniszczył ogniem i żelazem.
Zakon, i wstydem i gniewem zagrzany,
Krzyżową wojnę podniósł na pogany.
Wychodzi bulla : morzem, lądem płyną
Nieprzeliczone bojowników roje,
Możni książęta z wasalów drużyną
Czerwonym krzyżem ozdabiają zbroje,
A każdy na to swe życie poślubił,
Aby pogaństwo ochrzcił — lub wygubił.

Poszli ku Litwie. I cóż tam sprawili ?
Jeśliś ciekawy, wynidź za okopy,

Spojrzyj ku Litwie, gdy się dzień nachyli :
Zobaczysz łunę, co niebieskie stropy
Krwawym płomieni ruczajem obleje...
Oto są wojen napaśniczych dzieje !
Łacno je skreślić : rzeź, grabież, pożoga
I blask, co głupie rozwesela zgraje
A w którym mędrzec z bojaźnią uznaje
Głos wołający o pomstę do Boga.

Wiatry pożogę coraz dalej niosły,
Rycerze dalej w głąb Litwy zabiegli —
Słychać, że Kowno, że Wilno oblegli ;
Wkońcu ustały i wieści i posły.
Już w okolicy nie widać płomieni,
I niebo coraz dalej się czerwieni.
Darmo Prusacy z podbitej krainy
Brańców i mnogich łupów wyglądają,
Darmo ślą częstych gońców po nowiny :
Śpieszą się gońcy — i nie powracają.
Srogą niepewność gdy każdy tłumaczy,
Radby doczekać chociażby rozpaczy.

Minęła jesień, zimowe zamieci
Huczą po górach, zawalają drogi —
I znowu zdala na niebiosach świeci
Północne zorze — czy wojny pożogi ?
Coraz widoczniej razi blask płomieni,
I niebo coraz bliżej się czerwieni.

Z Maryjenburga lud patrzy ku drodze.
Już widać zdala : kopie się przez śniegi
Kilku podróżnych. — Konrad ? Nasi wodze ?
Jakże ich witać ? Zwycięzcy czy zbiegi ?
Gdzie reszta pułków ? — Konrad wzniósł prawicę—

Pokazał dalej ciżbę rozproszoną ;
Ach, sam ich widok zdradził tajemnicę.
Biegą bezładnie, w zaspach śniegu toną,
Walą się, depcą, jak podłe owady,
W ciasnem naczyniu ginące pospołu,
Pną się po trupach, nim nowe gromady,
Dźwignionych znowu potrącą do dołu.
Ci jeszcze wleką otrętwiałe nogi,
Ci w biegu nagle przystygli do drogi,
Lecz ręce wznoszą i, stojące trupy,
Wskazują w miasto, jak podróżne słupy.

Lud wybiegł z miasta, strwożony, ciekawy ;
Lękał się zgadnąć i o nic nie pytał,
Bo całe dzieje nieszczęsnej wyprawy
W oczach i twarzach rycerzy wyczytał.
Nad ich oczyma mroźna śmierć wisiała,
Harpija głodu ich lica wyssała.
Tu słychać trąby litewskiej pogoni,
Tam wicher toczy kłąb śniegu po błoni,
Opodal wyje chuda psów gromada,
A nad głowami krążą kruków stada.

Wszystko zginęło ! Konrad wszystkich zgubił !
On, co oręża takiej nabył chwały,
On, co się dawniej roztropnością chlubił,
W ostatniej wojnie lękliwy, niedbały,
Witołda chytrych sideł nie dostrzegał,
A oszukany, chęcią zemsty ślepy,
Zagnawszy wojsko na litewskie stepy,
Wilno tak długo, tak gnuśnie oblegał...

Kiedy strawiono dobytki i plony,
Gdy głód niemieckie nawiedzał obozy,

A nieprzyjaciel, wkoło rozproszony,
Niszczył posiłki, przecinał dowozy,
Codziennie z nędzy marły Niemców krocie —
Czas było szturmem położyć kres wojny,
Albo o rychłym zamyślać odwrocie —
Wtenczas Wallenrod, ufny i spokojny,
Jeździł na łowy, albo w swym namiocie
Zamknięty, knował tajemne układy
I wodzów nie chciał przypuszczać do rady.

I tak w zapale wojennym ostygnął,
Że ludu swego nie wzruszony łzami,
Miecza na jego obronę nie dźwignął ;
Z założonemi na piersiach rękami
Cały dzień dumał lub z Halbanem gadał.
Tymczasem zima nawaliła śniegi,
I Witołd, świeże zebrawszy szeregi,
Oblegał wojsko, na obóz napadał.
O hańbo w dziejach mężnego Zakonu !
Wielki mistrz pierwszy uciekł z pola bitwy !
Zamiast wawrzynów i sutego plonu,
Przywiózł wiadomość o zwycięstwach Litwy...
Czyście widzieli, gdy z tego pogromu
Wojsko upiorów prowadził do domu ?
Ponury smutek czoło jego mroczy,
Robak boleści wywijał się z lica ;
I Konrad cierpiał — ale spojrzyj w oczy :
Ta wielka, napół otwarta źrenica
Jasne zukosa miotała pociski,
Niby kometa, grożący wojnami ;
Co chwila zmienna, jak nocne połyski,
Któremi szatan podróżnego mami,
Wściekłość i radość połączając razem,
Błyszczała jakimś szatańskim wyrazem.

Drżał lud i szemrał — Konrad nie dbał o to.
Zwołał na radę niechętnych rycerzy,
Spojrzał, przemówił, skinął — o sromoto !
Słuchają pilnie i każdy mu wierzy ;
W błędach człowieka widzą sądu Boga,
Bo kogóż z ludzi nie przekona trwoga ?

Stój, dumny władco ! Jest sąd i na ciebie
W Maryjenburgu wiem ja loch podziemny ;
Tam, gdy noc miasto w ciemnościach zagrzebie,
Schodzi na radę trybunał tajemny.

Tam jedna lampa na podniebiu sali
I w dzień i w nocy się pali ;
Dwanaście krzeseł koło tronu stoi,
Na stole ustaw księga tajemnicza,
Dwunastu sędziów, każdy w czarnej zbroi —
Wszystkich maskami zamknięte oblicza ;
W lochach od gminnej ukryli się zgrai,
A larwą jeden przed drugim się tai.

Wszyscy przysięgli dobrowolnie, zgodnie
Karać potężnych swoich władców zbrodnie
Nazbyt gorszące lub ukryte światu.
Skoro ostatnia uchwała zapadnie,
I rodzonemu nie przepuszczą bratu :
Każdy powinien, gwałtownie lub zdradnie,
Na potępionym dopełnić wyroku ;
Sztylety w ręku, rapiery u boku.

Jeden z maskowych zbliżył się do tronu
I stojąc z mieczem przed księgą Zakonu,
Rzekł : „Straszliwi sędziowie !

Już nasze podejrzenie stwierdzono dowodem ;
Człowiek, co się Konradem Wallenrodem zowie,
Nie jest Wallenrodem.

Kto on jest — niewiadomo. Przed dwunastu laty
Nie wiedzieć skąd przyjechał w nadreńskie krainy,
Kiedy hrabia Wallenrod szedł do Palestyny,
Był w orszaku hrabiego, nosił giermka szaty.
Wkrótce rycerz Wallenrod gdzieś bez wieści zginął ;
Ów giermek, podejrzany o jego zabicie,
Z Palestyny uszedł skrycie
I ku hiszpańskim brzegom zawinął.
Tam w potyczkach z Maurami dał męstwa dowody
I na turniejach mnogie pozyskał nagrody,
A wszędzie pod imieniem Wallenroda słynął.
Przyjął nakoniec zakonnika śluby,
I został mistrzem — dla Zakonu zguby.
Jak rządził, wszyscy wiecie. Tej ostatniej zimy,
Kiedy z mrozem i głodem i z Litwą walczymy,
Konrad jeździł samotny w lasy i dąbrowy
I tam miewał z Witołdem tajemne rozmowy.
Szpiegowie moi dawno jego śledzą czynów.
Wieczorem pod narożną skryli się wieżycą —
Nie pojęli, co Konrad mówił z pustelnicą,
Lecz, sędziowie, on mówil językiem Litwinów !
Zważywszy, co nam tajnych sądów posły
Niedawno o tym człowieku doniosły,
I o czem świeżo mój szpieg donosi,
I wieść, już ledwie nie publiczna, głosi —
Sędziowie, ja na mistrza zaskarżenie kładę
O fałsz, zabójstwo, herezyją, zdradę".

Tu oskarżyciel pod Zakonu księgą
Ukląkł i wsparłszy na krucyfiks rękę,

Prawdę doniesień zatwierdził przysięgą
Na Boga i na Zbawiciela mękę.

Umilkł. Sędziowie sprawę roztrząsają —
Lecz niema głosów ni cichej rozmowy ;
Ledwie rzut oka lub skinienie głowy
Jakąś głęboką, groźną myśl wydają.
Każdy skolei zbliżał się do tronu,
Ostrzem sztyletu na księdze Zakonu
Karty przerzucał, prawa cicho czytał,
O zdanie tylko sumienia zapytał,
Osądził, rękę do serca przykłada —
I wszyscy zgodnie zawołali : „Biada !",
I trzykroć echem powtórzyły mury :
„Biada !". — W tem jednem, jednem tylko słowie
Jest cały wyrok. — Pojęli sędziowie,
Dwanaście mieczów podnieśli do góry,
Wszystkie zmierzone w jedną pierś Konrada.
Wyszli w milczeniu — a jeszcze raz mury
Echem za nimi powtórzyły : „Biada !".

VI

POŻEGNANIE

Zimowy ranek wichrzy się i śnieży ;
Wallenrod leci wśród wichrów i śniegów.
Zaledwie stanął u jeziora brzegów,
Woła i mieczem bije w ściany wieży.
„Aldono ! — woła — żyjemy, Aldono !
Twój miły wraca, wypełnione śluby !
Oni zginęli — wszystko wypełniono !".

PUSTELNICA

Alf? to głos jego! Mój Alfie, mój luby,
Jakże? Już pokój? Ty powracasz zdrowo?
Już nie pojedziesz?

KONRAD

O, na miłość Boga,
O nic nie pytaj. Słuchaj, moja droga,
Słuchaj i pilnie zważaj każde słowo!
Oni zginęli! — Widzisz te pożary?
Widzisz? To Litwa w kraju Niemców broi!
Przez sto lat Zakon ran swych nie wygoi!...
Trafiłem w serce stugłowej poczwary...
Strawione skarby, źródła ich potęgi,
Zgorzały miasta, morze krwi wyciekło...
Jam to uczynił, dopełnił przysięgi.
Straszniejszej zemsty nie wymyśli piekło.
Ja więcej nie chcę — wszak jestem człowiekiem!
Spełniłem młodość w bezecnej obłudzie,
W krwawych rozbojach; dziś, schylony wiekiem...
Zdrady mię nudzą — niezdolny do bitwy...
Już dosyć zemsty! — I Niemcy są ludzie...
Bóg mię oświecił. Ja powracam z Litwy,
Ja owe miejsca, twój zamek widziałem,
Kowieński zamek... już tylko ruiny!
Odwracam oczy, przelatuję cwałem,
Biegę do owej, do naszej doliny...
Wszystko, jak dawniej, też laski, te kwiaty...
Wszystko, jak było owego wieczora
Gdyśmy dolinę żegnali przed laty...
Ach, mnie się zdało, że to było wczora!
Kamień... pamiętasz ów kamień wyniosły,
Co niegdyś naszych przechadzek był celem?...

Stoi dotychczas, tylko mchem zarosły...
Ledwiem go dostrzegł: osłoniony zielem...
Wyrwałem zielska, obmyłem go łzami;
Siedzenie z darni, gdzie po letnim znoju
Lubiłaś spocząć między jaworami —
Źródło, gdziem szukał dla ciebie napoju —
Jam wszystko znalazł, obejrzał, obchodził...
Nawet twój mały sadek zostawiono,
Com go suchemi wierzbami ogrodził.
Te suche wierzby — jaki cud, Aldono.
Dawniej mą ręką wbite w piasek suchy,
Dziś ich nie poznasz, dzisiaj piękne drzewa,
I liście na nich wiosenne powiewa,
I młodych kwiatków unoszą się puchy...
Ach, na ten widok pociecha nieznana,
Przeczucie szczęścia serce ożywiło;
Całując wierzby, padłem na kolana.
„Boże mój, — rzekłem, — oby się spełniło!
Obyśmy w strony ojczyste wróceni,
Kiedy litewską zamieszkamy rolę,
Odżyli znowu! Niech i naszą dolę
Znowu nadziei listek zazieleni!".

„Tak! Wróćmy! Pozwól! Mam w Zakonie władzę,
Każę otworzyć... — Lecz poco rozkazy?
Gdyby ta brama była tysiąc razy
Twardsza od stali, wybiję, wysadzę —
Tam cię, o luba, ku naszej dolinie,
Tam poprowadzę, poniosę na ręku...
Lub dalej pójdziem... Są w Litwie pustynie,
Są głuche cienie białowieskich lasów,
Kędy nie słychać obcej broni szczęku,
Ani dumnego zwycięzcy hałasów,
Ni zwyciężonych braci naszych jęku.

Tam, w środku cichej, pasterskiej zagrody,
Na twojem ręku, u twojego łona
Zapomnę, że są na świecie narody,
Że jest świat jakiś... Będziem żyć dla siebie !...
Wróć, powiedz, pozwól ! "...

Milczała Aldona.
Konrad umilknął, czekał odpowiedzi —
Wtem krwawa jutrznia błysnęła na niebie.
„Aldono, przebóg, ranek nas uprzedzi,
Zbudzą się ludzie i straż nas zatrzyma !
Aldono !" — wołał, drżał z niecierpliwości.
Głosu nie stało — błagał ją oczyma
I załamane ręce wzniósł do góry,
Padł na kolana i żebrząc litości,
Objął, całował zimnej wieży mury.

„Nie, już po czasie ! — rzekła smutnym głosem,
Ale spokojnym. — Bóg mi doda siły,
On mię zasłoni przed ostatnim ciosem.
Kiedym tu weszła, przysięgłam na progu
Nie zstąpić z wieży, chyba do mogiły.
Walczyłam z sobą ; dziś i ty, mój miły,
I ty mi dajesz pomoc przeciw Bogu !...
Chcesz wrócić na świat — kogo ? Nędzną marę !
Pomyśl, ach, pomyśl : jeżeli, szalona,
Dam się namówić, rzucę tę pieczarę
I z uniesieniem padnę w twe ramiona,
A ty nie poznasz, ty mię nie powitasz,
Odwrócisz oczy i z trwogą zapytasz :
„Ten straszny upiór — jestże to Aldona ?"
I będziesz szukał w zagasłej źrenicy
I w twarzy, która... ach, myśl sama razi...
Nie, niechaj nigdy nędza pustelnicy

Pięknej Aldonie oblicza nie kazi !...
Ja sama wyznam — daruj, mój kochany ! —
Ilekroć księżyc żywszem światłem błyska,
Gdy słyszę głos twój, kryję się za ściany :
Ja cię mój drogi, nie chcę widzieć zbliska...
Ty może dzisiaj już nie jesteś taki,
Jakim bywałeś — pamiętasz ? — przed laty,
Gdyś wjechał w zamek z naszemi orszaki ;
Lecz dotąd w mojem zachowałeś łonie
Też same oczy, twarz, postawę, szaty...
Jak motyl piękny, gdy w bursztyn utonie,
Na wieki całą zachowuje postać —
Alfie, nam lepiej takiemi pozostać,
Jakiemi dawniej byliśmy, jakiemi
Złączym się znowu — ale nie na ziemi...

Doliny piękne zostawmy szczęśliwym,
Ja lubię moją kamienną zaciszę,
Mnie dosyć szczęścia, gdy cię widzę żywym,
Gdy miły głos twój co wieczora słyszę.
I w tej zaciszy można, Alfie drogi,
Możnaby wszystkie cierpienia osłodzić...
Porzuć już zdrady, mordy i pożogi,
Staraj się częściej i raniej przychodzić...

Gdybyś — posłuchaj — wokoło równiny
Chłodnik, podobny owemu, zasadził
I twoje wierzby kochane sprowadził
I kwiaty, nawet ów kamień z doliny...
Niech czasem dziatki z pobliskiego sioła
Bawią się między ojczystemi drzewy,
Ojczyste w wianek uplatają zioła,
Niechaj litewskie powtarzają śpiewy...
Piosnka ojczysta pomaga dumaniu

I sny sprowadza o Litwie i tobie...
A potem, potem po mojem skonaniu,
Niech przyśpiewują i na Alfa grobie !".

Alf już nie słyszał — on po dzikim brzegu
Błądził bez celu, bez myśli, bez chęci.
Tam góra lodu, tam puszcza go nęci...
W dzikich widokach i w naglonym biegu
Znajdował jakąś ulgę — utrudzenie.
Ciężko mu, duszno śród zimowej słoty ;
Zerwał płaszcz, pancerz, roztargał odzienie
I z piersi zrzucił wszystko — prócz zgryzoty,
Już rankiem trafił na miejskie okopy ;
Ujrzał cień jakiś — zatrzymał się, bada...
Głos tylko słychać : „Biada, biada, biada !".

Alf na ten odgłos zbudził się i zdumiał —
Pomyślał chwilę i wszystko zrozumiał.
Dobywa miecza i na różne strony
Zwraca się, śledzi niespokojnem okiem ;
Pusto dokoła — tylko przez zagony
Śnieg leciał kłębem, wiatr północny szumiał.
Spojrzy ku brzegom, staje rozrzewniony —
Nakoniec wolnym, chwiejącym się krokiem
Wraca się znowu pod wieżę Aldony.

Dostrzegł ją zdala — jeszcze w oknie była.
„Dzieńdobry ! — krzyknął. — Przez tyle lat z sobą
Tylkośmy nocną widzieli się dobą,
Teraz — dzieńdobry ! Jaka wróżba miła !
Pierwszy dzieńdobry — po latach tak wielu !
Zgadnij, dlaczego przychodzę tak rano ?".

ALDONA

Nie chcę zgadywać... Bądź zdrów, przyjacielu,
Już nazbyt światło ; gdyby cię poznano...
Przestań namawiać — bądź zdrów — do wieczora.
Wyniść nie mogę, nie chcę...

ALF

Już nie pora !
Wiesz o co proszę ? — Zrzuć jaką gałązkę...
Nie... Kwiatów nie masz — więc nitkę z odzieży,
Albo z twojego warkocza zawiązkę,
Albo kamyczek ze ścian twojej wieży !
Chcę dzisiaj — jutra nie każdemu dożyć —
Chcę na pamiątkę mieć jaki dar świeży,
Który dziś jeszcze był na twojem łonie,
Na którym jeszcze świeża łezka płonie ;
Chcę go przed śmiercią na mem sercu złożyć,
Chcę go ostatnim pożegnać wyrazem...
Mam zginąć wkrótce, nagle... Zgińmy razem !
Widzisz tę bliską, przedmiejską strzelnicę ?
Tam będę mieszkał ; dla znaku, co ranek
Wywieszę czarną chustkę na krużganek,
Co wieczór lampę u kraty zaświecę.
Tam wiecznie patrzaj : jeśli chustkę zrzucę,
Jeżeli lampa przed wieczorem skona,
Zamknij twe okno — może już nie wrócę !

„Bądź zdrowa !". — Odszedł i zniknął. Aldona
Jeszcze pogląda, zwieszona u kraty.
Ranek przeminął, słońce zachodziło,
A długo jeszcze w oknie widać było

Jej białe, z wiatrem igrające szaty
I wyciągnięte ku ziemi ramiona.

*

„Zaszło nakoniec“ — rzekł Alf do Halbana,
Wskazując słońce z okna swej strzelnicy,
W której zamknięty od samego rana
Siedział, patrząjąc w okno pustelnicy.

„Daj mi płaszcz, szablę! Bądź zdrów, wierny sługo!
Pójdę ku wieży. — Bywaj zdrów na długo,
Może na wieki! Posłuchaj, Halbanie:
Jeżeli jutro gdy dzień zacznie świecić,
Ja nie powrócę, opuść to mieszkanie!
Chcę, chciałbym jeszcze coś tobie polecić...
Jakżem samotny! Pod niebem i w niebie
Nie mam nikomu nigdzie nic powiedzieć
W godzinę skonu prócz jej i prócz ciebie!
Bądź zdrów, Halbanie! Ona będzie wiedzieć...
Ty zrzucisz chustkę, jeśli jutro rano...
Lecz cóż to? Słyszysz? — W bramę kołatano!“.

„Kto idzie!?“ — trzykroć odźwierny zawołał.
„Biada!“ — krzyknęło kilka dzikich głosów.
Widać, że strażnik oprzeć się nie zdołał,
I brama tęgich nie wstrzymała ciosów.
Już orszak dolne krużganki przebiega,
Już przez żelazne pokręcone wschody,
Do Wallenroda wiodące gospody,
Łoskot stóp zbrojnych raz wraz się rozlega.
Alf, zawaliwszy wrzeciądzem podwoje,
Dobywa szablę — wziął czarę ze stoła —
Podszedł ku oknu. „Stało się! — zawołał,
Nalał i wypił. — Starcze, w ręce twoje!“.

Halban pobladnął. Chciał skinieniem ręki
Wytrącić napój — wstrzymuje się, myśli...
Słychać za drzwiami coraz bliższe dźwięki;
Opuszcza rękę. „To oni! — Już przyśli!

Starcze, rozumiesz, co ten łoskot znaczy?
I czego myślisz? Masz nalaną czaszę.
Moja wypita... Starcze! W ręce wasze!“.
Halban poglądał w milczeniu rozpaczy.

„Nie, ja przeżyję i ciebie, mój synu!
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki,
I żyć, ażebym sławę twego czynu
Zachował światu, rozgłosił na wieki.
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta;
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci.
Bard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta
Będzie ją w domu śpiewać dla twych dzieci,
Będzie ją śpiewać — i kiedyś, w przyszłości
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!“.

Na poręcz okna Alf ze łzami pada —
I długo, długo ku wieży poglądał,
Jak gdyby jeszcze napatrzyć się żądał
Miłym widokom, które wnet postrada.
Objął Halbana — westchnienia zmieszali
W ostatniem długiem... długiem uściśnieniu.
Już u wrzeciądzów słychać łoskot stali —
Wchodzą, wołają Alfa po imieniu:

„Zdrajco, twa głowa dzisiaj pod miecz padnie!
Żałuj za grzechy, gotuj się do zgonu!
Oto jest starzec, kapelan Zakonu —
Oczyść twą duszę i umrzyj przykładnie!“.

Z dobytym mieczem Alf czekał spotkania,
Lecz coraz blednie — pochyla się, słania...
Wsparł się na oknie i tocząc wzrok hardy,
Zrywa płaszcz, mistrza znak na ziemię miota,
Depce nogami z uśmiechem pogardy :
„Oto są grzechy mojego żywota !

Gotowem umrzeć — czegoż chcecie więcej ?
Z urzędu mego chcecie słuchać sprawy ?
Patrzcie na tyle zgubionych tysięcy,
Na miasta w gruzach, w płomieniach dzierżawy !
Słyszycie wicher ? Pędzi chmury śniegów —
Tam marzną waszych ostatki szeregów !
Słyszycie ? Wyją głodnych psów gromady —
One się gryzą o szczątki biesiady !

Ja to sprawiłem ! Jakem wielki, dumny !
Tyle głów hydry jednym ściąć zamachem ! ...
Jak Samson — jednem wstrząśnieniem kolumny
Zburzyć gmach cały — i runąć pod gmachem !".

Rzekł, spojrzał w okno i bez czucia pada —
Ale, nim upadł, lampę z okna ciska :
Ta, trzykroć kołem obiegając, błyska,
Nakoniec legła pod czołem Konrada.
W rozlanym płynie tleje rdzeń ogniska,
Lecz coraz głębiej topi się i mroczy,
Wreszcie, jak gdyby dając skonu hasło,
Ostatni, wielki krąg światła roztoczy —
I przy tym blasku widać Alfa oczy :
Już pobielały — i światło zagasło.

I w tejże chwili przebił wieży ściany
Krzyk nagły, mocny, przeciągły, urwany...

Z czyjej to piersi ? — wy się domyślicie,
A ktoby słyszał, odgadnąłby snadnie,
Że piersi, z których taki jęk wypadnie,
Już nigdy więcej nie wydadzą głosu :
W tym głosie całe ozwało się życie.

Tak struny lutni od tęgiego ciosu
Zabrzmią i pękną ; zmieszanemi dźwięki
Zdają się głosić początek piosenki —
Ale jej końca nikt się nie spodziewa.

Taka pieśń moja o Aldony losach.
Niechaj ją anioł harmonji w niebiosach,
A czuły słuchacz w duszy swej dośpiewa !

CENA 3s. 6d.